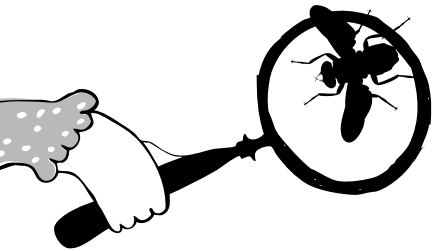


MASKO PRZYGODOWE

Barbara Stenka

ilustracje
Olga Reszelska



Specjalne podziękowania dla:

** Patrycji – za słowo zastępujące „dobranoc”*

** Magdy – za zgodę na wykorzystanie historyjki z nosem i pomoc w jej uporządkowaniu*

** Marty i Viki – za naukę moonwalka na róży wiatrów w Kaliszu Pomorskim*



TEN CAŁY NUDNY ŚWIAT

Na początku muszę wam powiedzieć, że ten cały świat w ogóle mnie nie interesuje. Bo cały świat wygląda jak brudna piłka, z przewagą koloru niebieskiego i z żółto-zielonymi plamami. Ta piłka jest trochę spłaszczona, taka jak do gry w rugby.

Jak posłuchać całego świata, to słyszeć tylko wielojęzyczny bełkot, strzały, wybuchy i brzęczenie pojazdów i urządzeń mechanicznych.

Jak powąchać cały świat, to ogólną spaleniznę się czuje, świeży plastik, wzywy samochodowe, bo samochodów jest więcej niż drzew, więc drzew nie czuje się przy ogólnym wąchaniu.

Kiedy dotknąć całego świata, to może być albo twarde od skał lub budynków, albo mokro od wody. Jest też mała szansa na to, że trafi się na sierść lub liście.

Taki cały świat niewiele mówi o sobie samym. Dlatego mnie nie interesuje.

Jedyne co mnie interesuje, to szczegóły.

Szczegóły czego?

Szczegóły wszystkiego.

Bo zobaczcicie, na przykład takie... jezioro. Z daleka, ogólnie, to szara płaszczyna, pewnie nieraz widzieliście. Ale gdy podejść bliżej, to już coś widać i słyszać. Płaszczyna marszczy się i bulgocze, woda ma różne odcienie. Zbliźcie się jeszcze bardziej. Kucnijcie. A tam – prawdziwy zwierzęcy lunapark! Najlepsze są białawe kielże, które zasuwają, leżąc na boku, dziwaki – no bo kto się tak przemieszcza! Ślimaki falują swoimi miękkimi ciałami i skrobią gębami liście podwodnych sałatek. Kamienie są różniaste: jak kryształy albo cegiełki, albo jak kanciaste nie wiadomo co. Oczywiście widać butelki wbite w piaszczyste dno i – obowiązkowo – reklamówki jak welony wydymające się w rytm fal. I wypłute pety i nadartą pieluchę... Być człowiekiem – to straszny obciach.

A teraz pomyślcie – zwyczajny palec na przykład. Nijaki kolor, nieokreślony zapach. Ale palec pod lupą – to już różowe labirynty, ścianki płytkich korytarzyków. Kto po nich chodzi? Może roztocze? Może krasnoludki albo bakterie? Muszę sobie kupić mikroskop.

Są i inne szczegóły. Szczegóły trawiastego dywanu w parku, budynku mojej szkoły, piaszczystej plaży czy szalika ręcznej roboty.

A jakie są szczegóły mnie samej? Bo ogólnie to jestem podobna do niedużego chłopaka z czwartej klasy. Nic specjalnego. Ale gdyby komuś zechciało się podejść bliżej, to już widzi, że w moich krótkich brązowych włosach coś błyszczy. To spinka ze sztucznym brylancikiem, która zawsze trzyma grzywkę z prawej strony

czoła. I kolejne dwa brylanciki – to kolczyki. I jeden niżej – to oczko mojego pierścionka. Żaden chłopak nie nosiłby czegoś takiego. Bardzo lubię taką biżuterię. I perfumy. Zawsze pachną nienaturalnie, chociaż mamusię strasznie to denerwuje. Kiedy byłam młodsza, wciąż mnie obmywała z tych zapachów. Zaciskałam zęby i znowu podkładałam pachnidła albo kupowałam sobie najtańsze zapachy w drogerii. Teraz mama już mnie nie wacha. Woli się nie denerwować.

Następne moje szczegóły to jasnoniebieskie oczy i czarne rzęsy. Usta i zęby są zwyczajne, nie licząc drobnej asymetrii górnych kłów: lewy jest trochę ostrzej zakończony, bo częściej gryzę prawą stronę i prawy kieł mocniej się starł. Reszta szczegółów jest pod ubraniem. Gdyby ktoś mi się tak uporczywie przypatrywał, na pewno to by mnie wkurzyło. Za to ja lubię się przypatrywać; no lubię i już. To coś innego niż zwykle gapienie się, tyle że wiem o tym tylko ja. Ostatnio wpadłam na pomysł – noszę przeciwsłoneczne okulary. Wtedy nie widać, na kogo patrzę. Mogę sobie obserwować ludzi – ich zachowanie, kształt uszu, ruchy dłoni, włosy w nosie, zęby – co zechcę.

Tyle informacji na początek musi wam wystarczyć. Plus ta, że uczę się średnio. Po prostu nie mam czasu na naukę, bo tych szczegółów, które mnie interesują, nie opisują w podręcznikach. No – czasami, ale rzadko. Więc muszę zużywać czas i energię na samodzielne zdobywanie wiedzy.

I jeszcze jedno. Nazywam się Kasia Koniec. Temperatura ciała: 36,8.



ŚMIERDZĄCE PRZEDSZKOLE

To było późnym latem. Dokładnie trzydzieści pięć stopni w cieniu – uznałam, że to najlepszy czas na otwarcie mojego wymarzonego przedszkola. Cały problem był w pozyskaniu przedszkolaków.

Otworzyłam lodówkę, węsząc wśród reklamówek pełnych żywności.

– Zamykaj w tej chwili! – usłyszałam i podskoczyłam ze strachu, rąbiąc na oślep białymi drzwiami.

– Ejże, nie chciałam cię wystraszyć... – Mamusia, Marianna Koniec, pogładziła moje ramię. – Kto kupi nową lodówkę, i za co? Trzeba wcześniej pomyśleć, co się chce zjeść, i prędko wyjąć. A nie otwierać na oścież w czasie upału.

– O rany, przepraszam. – Zastanawiałam się, jak mama to robi, że często przyłapuje mnie na popełnianiu błędu, a rzadko, kiedy coś mi się udaje. – Kawałek mięsa chciałam wziąć, a ono jest tak pozawijane...

– Ejże, Kasiula... Kielbasa, pasztet i szynka leżą na wierzchu – dziwowała się mama. – Od dzisiaj tu mieszkaś? Jesteś sublokatorką? Gościem? – rozkręcała się.

– Chciałam kawałek... surowego.

– Cooo? Dziecinko, chyba upał ci nie służy. – Pochnęła mnie lekko w stronę drzwi.

– Mały kawałek. Byle surowego... – usiłowałam cokolwiek wytargować.

– Upał szkodzi komórkom mózgowym.

– Surowe – powtórzyłam przytomnie.

– Po co? – spytała wpatrując się we mnie twardo.

– Bo... bo mi potrzebne... – powiedziałam niewyraźnie.

– A mi potrzebne, żeby moja córeczka miała mniej pomysłów. – Przeszła szybko do pokoju, aż poczułam poddmuch rozkloszowanej spódnicy. Tkanina musnęła mnie lekko i drzwi pokoju zamknęły się.

To było do przewidzenia. Nielatwo być moją mamą, jak zauważyliście. Nie chciałabym być moją mamą i mężczyź się ze mną już dziesięć lat. Jednak nic na to poradzę – pomysły same do mnie przychodzą i muszę się z nimi mierzyć. Tylko że często wygląda to tak, jakbym była niegrzeczna czy nieuprzejma. Ale zobaczcie – przecież próbowałam uczciwie zdobyć kawałek surowego mięsa. Teraz będę musiała go zdobyć w sposób podstępny i będzie mi niemiło, bo nad życie kocham moją mamusię.

Uchyliłam drzwi. Mama modliła się razem z kobietami z Telewizji Trwam (to taki kanał, w którym ciągle ktoś się modli, a mamusia lubi razem z nimi). Pewnie modli się, żeby mieć grzeczniejszą córkę, taką, która nie pragnie surowego mięsa w upalny dzień.

Poszłam do pokoju tatusia, pogłaskałam go po głowie (tatusia, nie pokój) i wróciłam do siebie po pieniądze. W międzyczasie zmierzyłam sobie temperaturę. 36,9. Ho, ho! Chyba coś mnie bierze... Zmierzyłam ponownie – termometrem elektronicznym tym razem. 36,8. Hm, może nie jest jeszcze tak źle... Przerzuciłam torbę przez plecy.

– Mamusiu, na chwilkę wyjdę do kiosku. – Przerwałam mamie seans w towarzystwie kobiet z Trwam, co nie sprawiło jej w dobry humor.

– Po co? – Odłożyła różaniec i zmarszczyła czoło. Okulary z grubymi szklami zaparowały trochę i nie widziałam oczu mamy.

– Po... gazetkę. „Młody akwarysta”. – Naprawdę, nie jest miło tak łącać własnej mamie prosto w okulary, ale co robić, jak nie chcą wam dać surowego mięsa i wypytują po co.

– No dobrze, kup też, dziecinko, „Kurier”. Ale... zaraz... Przecież ty nie masz akwarium.

– Ale... – brnęłam – mogę sobie o nim chociaż poczytać. Dla wiedzy i przyjemności.

– Możesz iść po tę gazetę, chociaż nie jest to najlepsza literatura – oceniła i dała mi ręką znak, żebym zamknęła drzwi.

Mamusia bardzo dba o to, żebym czytała tylko dobre książki. I ja lubię takie książki, ale rozumiecie sami, że nie zawsze człowiek może żyć literaturą.

Poszłam prosto do sklepu z mięsem. Patrzyłam na lekko zakrwawione kawałki zwierząt, które miały pecha być pożyteczne dla człowieka.

– Poproszę taki kawałeczek. – Wysunęłam dwa palce w kierunku sprzedawczyni. – O taki. Może być na nim trochę krwi – zasugerowałam z uśmiechem.

– Ale wołowina ma być? Czy wieprzowe? – Szczupła brunetka z nożem w dłoni i identyfikatorem z imieniem „Ingeborga” zerkała na mięso w ladach-lodówkach.

– A bo ja wiem? Takie bardziej mięsne poproszę – głowiłam się.

– Do czego to ma być?

Tego właśnie za nic nie mogłam powiedzieć, więc milczałam, wpatrując się w mięsne mięsa. Wskazałam palcem na bordowe błyszczące poduchy wątróbki.

– Takie? Pewnie dla kotka? – Sprawnie urznęła kwadrat wielkości dłoni.

– Tak! – pokiwałam radośnie głową, a brunetka skasowała dwa złote.

Z kawałkiem mięsa owiniętym w folię wróciłam do domu. Mama nadal się modliła, więc miałam trochę swobody. Sięgnęłam na półkę po przygotowane wcześniej przezroczyste plastikowe pudełko. Zrobiłam dziurki przy górnej krawędzi i przeciągnęłam przez nie mocny sznurek. Przyczepiłam pokrywkę z ciemnego plastiku.

Otworzyłam okno i przywiązałam pudełko do skrzynki z werbeną. Drobne czerwone kwiatuszki pachniały zabójczo. Ech, żeby mieć takie perfumy... Przez chwilę węszyłam z uczuciem i tęsknotą.

Pudełko musiało być w najmniej widocznym miejscu. Gdyby ktoś je odkrył – nici z mojego wymarzonego przedszkola. Już jedno kiedyś spartaczyłam – zaraz wam

opowiem w jaki sposób, to będziecie wiedzieli i nie popełnicie moich błędów.

Ale najpierw o pudełku. Wcisnęłam je między skrzynkę a krawędź okna. Od góry zasłaniały je krzaczki werbeny, trzeba by je rozgarnąć, żeby coś wykryć. Chyba mamie nie wpadnie do głowy taka absurdalna czynność. Powinno być dobrze.

Przywiązałam mocno. Osłonięte od wiatru, w porządku. Powietrza powinno wystarczyć, gdy zluzowałam pokrywkę. Same dziurki to za mało, przedszkolaki mogą się podusić.

Do pudełka włożyłam krwisty kawałek wątróbki. Pokrywki nie położyłam na górze, wisiała swobodnie obok pudełka. Teraz trzeba czekać. Długo albo nie, kto wie. Czekać w sposób nie wzbudzający podejrzeń. Dyskretne spojrzenia przez krzaczki.

Czekałam na moje przedszkolaki. Czekałam na muchę. Żeby złożyła jaja na wątróbce.

Przypuszczam, że niektórzy właśnie przestali czytać moją historyjkę i wykrzywieni poszli się przewietrzyć. Ale może ktoś został. Jeśli ktoś został, to może też interesuje się muchami. Może nie dzieli zwierząt na użyteczne i zbędne. Może po prostu interesuje się szczegółami tego świata i przyrodą. I też próbował wyhodować musze przedszkole.

Ten pomysł załagał się w mojej głowie, gdy mama opowiadała o pradziadku. Nigdy go nie poznałam, bo dawno zmarł. Mama powiedziała, że bardzo lubił łowić ryby. Ale w tych dawnych czasach nie było sklepów,

w których można kupić wszystko – nawet żywe robaczki dla wędkarzy. Pradziadek poradził sobie. Wiedział, że najlepiej łąwi się na naturalne, wijące się robale. Kupował kawałki mięsa i wystawiał na balkon w aluminiowej miseczce. Muchy nie mogły się oprzeć i zawsze znalazła się jakaś chętna musza mateczka. Rozkładające się mięso dobrze rokowało i mucha wiedziała, że jej dzieci będą miały pod dostatkiem pożywienia. Składała jajeczka i po pewnym czasie wykluwały się z nich larwy – takie robaki przedszkolaki. Bardzo, bardzo chciałam zobaczyć takie larwy! Widziałam je tylko w telewizji na Animal Planet. Miały czarne główki. W zeszłym miesiącu spróbowałam pierwszy raz wyhodować takie przedszkole. Zrobiłam błąd – nie pomyślałam o pokrywce. Mucha złożyła owalne kremowe jajeczka, ale słońce zrobiło swoje. Jajeczka wyschły na wiór.

Może teraz się uda? Zerknęłam jeszcze raz na pudełko. Na razie żadna mucha nie wyczuła wątróbki. Jak to jest – kiedy nie trzeba, siadają te muchy na każdej kanapce! A teraz – ani jednego owada.

Wnikliwe obserwacje przerwał szalony tupot w korytarzu i do pokoju wparowali moi bracia.

– Kasia, pożycz płytę! Myśmy ściągnęli z netu takie fajne kawałki i nie mamy na co przerzucić. – Grzesiek nie przestawał ćwiczyć raperskich gestów. – No, pożycz...

– A ile płyt już wam pożyczyłam? – gderałam. – Sporto, tak? A ile oddaliście? Zero.

– Nieprawda, jedną oddaliśmy. – Piotrek przewrócił oczami. – Na święta.

– Daliście mi pod choinkę moją własną płytę! To znaczy tę, którą wam pożyczyłam. – Moi bracia byli niemożliwi. Zawsze wycyganili ode mnie, co chcieli, a przecież dostawali tyle samo pieniędzy. Natychmiast wydawali je na słodycze, baterie i pizzę. Takie z nich dzieciaki, chociaż są o ponad rok starsi ode mnie.

– No Kaaasia, no pożycz, ostatni raz – skamlał Grzesiek, robiąc minę zagubionego pieska. – Kasia kochasia.

Ha! Teraz to „kochasia”, a jeszcze wczoraj była „dupasia”.

– Macie, hieny domowe. – Pogrzebałam w mojej szafeczce i dałam mu czystą płytę.

– Dzięki, stara, nie zgub lewara – zarapował Grzesiek, a ja parsknęłam śmiechem.

Lubię moich braci, chociaż okropnie mnie denerwują. Bez przerwy się ruszają, nieraz mam dosyć ich machających kończyn i raperskich wierszyków. Często mnie wykorzystują, pożyczają pieniądze i chcą, bym kryła ich przed mamą. Nie, żeby robili coś złego. Są z nich zwykle łobuziaki, ale nieraz mnie bronili i nikomu na świecie nie pozwoliliby mnie skrzywdzić. Czasami pozwalałam im popychać się i trącać, ale nikomu innemu nie wolno mnie tknąć choćby dmuchawcem.

No i pewnie dziwicie się, że moja mamusia tak się modli i modli. Taka już ona jest. Lubi rozmawiać z Bożą i próbuje nauczyć tych rozmów naszą trójkę. Ale ja tego nie umiem. No owszem, czasami sobie pogadam z jakimś świętym, ale te wymyślone modlitwy i obyczaje nudzą mnie i denerwują. Nigdy nie udało mi się wytrzymać dłu-

żej niż chwilkę, zaraz się wierciłam, rozpraszałam, a nawet ryczałam. Teraz już mamusia nas nie zmusza. A mnie ta cała Bozia trochę drażni. Wolałabym, żeby mamusia więcej rozmawiała ze mną, w końcu to ja jestem jej córką, a nie Bozia. Czasami, kiedy nikt nie widzi, stoję przed świętymi obrazkami w pokoju mamusi i pokazuję Bozi język. Albo wykrzywiam się paskudnie i grożę jej pięścią. Bozia – nic. Nie daje się sprowokować, tylko uśmiecha się łagodnie. Może za to mamusia tak ją lubi.

To teraz już wiecie, czym interesuje się moja mamusia i moi bracia.

I wiecie, że mnie interesują zwierzęta. Kocham się w książkach i programach o zwierzętach. Zawsze marzyłam o wycieczce do oceanarium. O chomiku w mieszkaniu. Ale mamusia nie zgadza się na zwierzęta. Mówi, że przy trójce dzieci i mężu-latawcu i tak jest pracy po uszy. No i teraz wypadałoby wam wyjaśnić, dlaczego mój tatuś jest „latawcem”. Ale musicie poczekać, bo o tacie będę opowiadała później.

Tak więc dałam chłopakom płytę i na paluszkach podszłam do drzwi pokoju mamy. Spoko, słyhać Telewizję Trwam. Bardzo dobrze słyhać.

Wstąpiłam do pokoju tatusia, potuliłam się do niego (do tatusia, a nie do pokoju) i pomyślałam, że trzeba zrobić kolację.

Kroiłam ziarnisty chlebek, żółty ser, a potem kielbasę i szczypiorek. Aha, fajny będzie ser w kształcie serduszek. Z kropkami keczupu dookoła krawędzi. I frędzle ze szczypiorku – bardzo ciekawie to wygląda. Jak serce pod-

czas przeszczepu. Widziałam takie w telewizji. Wystawały z niego żyły. A ten pan, który je wyjął i wsadził komuś innemu, nazywał się pan profesor Religa.

– Kasia, daj jedną. – Grzesiek wyciągnął pulchną dłoń w stronę kanapek.

– Mi też, mi też, wyglądasz jak jeź! – rapował Piotrek, waląc palcem w stół.

– Aleм sobie pościągał dziarskie kawałki – błysnął humorem Grzesiek.

– A to zanieście tatusiowi – wcisnęłam Piotrkowi talerz z kanapkami. – I wróćcie po herbatę. – Podniosłam kromkę chleba do ust i wtedy mama weszła do kuchni.

– No, pięknie, dziecinko. – Pogłaskała mnie po głowie, oszczędzając uwag na temat lśniącej spinki i kolczyków. Zamrużałam, moim zdaniem bardzo wzruszająco. – Ooo – zauważyła moje artystyczne starania. – Masz, Kasiula, pomysły...

– Mamusiu, ja tak zrobiłam, żeby było weselej. I kolorowo. Żeby milej się jadło. A to jest takie jakby serce, a to żyły...

– Ale, córuś, za mało masła! – No nie! Zauważyła! – Wy rońniecie, musicie mieć budulec dla kości, stawów. – Już poprawiała moje kanapki, wciskając maślaną papkę. – Proszę, o, teraz jest w sam raz. – Piotrek stał za plecami mamusi i ładował sobie palec do gardła w geście obrzydzenia. Zaczęłam się chichrać.

– Ty jesteś, mamusiu... jesteś... niepoprawna. – Złapałam jej dłoń i przycisnęłam do swojego policzka. – Jedz, mamo, jedz kanapki. Zrobiłam dla ciebie.

– Grzesiu, obudź tatusia. – Gładziła moje krótkie brązowe włosy, aż elektryzowały...

Usiadłyśmy na kuchennej ławie. Piotrek nagryzł kanapkę spływającą masłem i oczywiście trochę wyciekło po bokach. Jak zawsze. Jadłam sobie spokojnie, pogadując z mamą. Była pulchna i ciepła, bardzo miękka. Nie pachniała niczym poza mydłem Biały jeleń. Całkiem ładny zapach. Chłopcy podskakiwali, domagając się zimnych napojów. A za nimi wszedł rozczochrany, zaspany tatuś. Ale – o ile pamiętacie – o tatusiu opowiem wam później, więc na razie nie wiecie, dlaczego jest taki zaspany bardzo wczesnym wieczorem.

– Gorącoo! – Piotrek ocierał pot z czoła.

– Łap! – Tatuś rzucił mu puszkę fanty, a mamusia syknęła:

– Z lodówki?! Przeziębi gardło.

Tatuś zrobił śmieszniejszą minę i dotknął zimną puszką rozgrzanego ramienia mamusi. A mamusia – dorosła Marianna Koniec – z piskiem i w podskokach uciekała jak jakaś dziewczynka!

– Chłodzimy dziewczyny! – krzyknął Grzesiu i przyłożył drugą puszkę do moich pleców.

– A teraz chłopaki mają robaki! – Ruszyłam mamusi na pomoc i wsadziłam Piotrkowi za koszulę gumową dżdżownicę, a on bardzo takich zabawek nie lubi.

No i taka to była kolacja. Bardzo lubię, gdy tatuś tak psoci i jest wyspany. Bardzo lubię moją rodzinę i wszyscy mi się podobają. I mamusia – blada, miękka i pulchna. I tatuś – wysoki i chudy jak ja. I Piotrek, i Grzesiu – silni i grubi, ze swoim rapem i kawałami.

Tyle że strasznie się spościłam przy tej bieganej kolacji, a ja nie mogę się pogodzić z tym, że człowiek się poci i nie pachnie perfumami, tylko nie wiadomo czym. A miłe to nie jest.

Ta myśl przypomniała mi o przedszkolu za oknem. Połknęłam ostatni kęs kanapki i pobiegłam do mojego pokoju. Było nieco chłodniej – upalny wieczór jest na pewno przyjemniejszy niż upalny środek dnia. Zajrzałam do pudełka. Są!!!

Są jaja muchy! Zapomniałam o kolacji, pochłonęła mnie obserwacja kolejnego cudu natury. To także szczegół tego świata! Jaki równiutki pakiecik: kremowe jaja, owalne, ustawione pionowo na wątróbce. Na razie prawie nie śmierdzi, nikt nie powinien odkryć przedszkola. Delikatnie przykryłam pudełko pokrywką, zostawiając szparę, żeby jaja miały przewiew. Pojemnik był przezroczysty, więc i tak mogłam obserwować zawartość. Myślałam o tym, że jestem dzieckiem muchy i siedzę właśnie w takim jajeczku, skulona i bezpieczna. A obok w innych jajeczkach siedzi moje rodzeństwo. Grzesiek i Piotrek też. Ale mamy jeszcze wielu braci i wiele sióstr. Ciekawe, czy przez kremową ściankę jaja widać świat zewnętrzny? Chyba tylko światło dnia i ciemność nocy, ale szczegółów świata to już nie. Spojrzałam w niebo, które robiło się fioletowe. Hej, Boziu, jak się masz?! To ja, Kasia Koniec. Zobacz, tu na dole, na Ziemi, mucha złożyła jaja. Będą robaczki. Pozwolą się obserwować i robić sobie zdjęcia. Tylko że Marianna zdenerwuje się, gdy to odkryje. Więc pomóż, Boziu, zachować przedszkole tylko dla mnie.

Pstryknęłam wątróbkę z jajami moim cudownym cyfrowym sony. Dostałam go dawno temu od dziadka Artura, który mieszka w Szwecji i tylko raz na kilka lat do nas przyjeżdża. No, może nie byłby najszczęśliwszy, gdyby wiedział, że uwieczniłam ślady działalności muchy. Miały być „pamiątki rodzinne”. Ale to też jest jakaś rodzina, no nie?

Siedziałam na tapczanie z aparatem w dłoniach, aż moi bracia wyrwali mnie z zamyślenia.

– Kaśka! Mama daje ci czystą pościel. – Rzucili we mnie powłóczkami na poduszkę i kołdrę. – Wymień. I brudną przynieś do kosza! – Grzesiu zrobił minę aligatora, rozciągając usta, i już ich nie było (braci, nie ust!).

Pewnie myślicie, że wymiana pościeli to niemiły obowiązek, ale mylicie się. Ja to bardzo lubię. Nowa pościel pięknie pachnie, i lubię tulić ją do policzków. Sama potrafię nawlec wszystkie poszewki i nieraz pomagam chłopakom, chociaż są ode mnie starsi. Ale gdy sami się do tego zaborą, to kołdry leżą zwinięte gdzieś w środku powłóczek i nie wiadomo, jak przykryć się takim tobołem. A u mnie jest równiutko i pachnąco. Środek pośrodku, rogi w rogach. Tak jak teraz. Tylko ja jestem brudna.

Weszłam do łazienki ze starą pościelą w rękach. Położyłam ją na koszu i poszłam zrobić wywiad. Bo tak: jest nas w domu pięcioro, a łazienka ledwie jedna. Więc gdy ktoś planuje dłuższą kąpiel lub kupę, musi uprzedzić pozostałych. A czasami oni też mają pilną potrzebę, i wtedy jest problem. Ale nie tym razem. Usłyszałam cztery razy „nie”. Fajnie.

Z przyjemnością namydliłam się brzoskwiniowym żelem pod prysznic. Głowę też, szamponem Powitanie z Afryką. Uwielbiam te zapachy, mogłabym tak siedzieć w pianie całymi godzinami, ale musiałam się spieszyć. Nie byłam jedyną osobą pragnącą kąpeli. Wytarłam się, szukając piżamy. No tak! Zapomniałam przynieść... Owinęłam się moim pomarańczowym ręcznikiem i poczłapałam do pokoju.

– Niedługo zaczyna się szkoła, a siostra chodzi goła!
– Grzesiek rapował stojąc w drzwiach.

– Czyja siostra? Czyja?! – Rozgorączkowany z ciekawości Piotrek wpadł na korytarz.

– Twoja, głupi. – Grzesiu wywalił język, patrząc na mnie.

– Eee tam... – zawiódł się Piotrek. – A poza tym, to twoja siostra!

– Twoja, bałwanie! – Grzesiek nie ustawał w wygibasach i minach. Ten człowiek chyba naprawdę będzie kiedyś raperem. Albo komikiem. Albo kompletnym idiotą.

– Właśnie że twoja!

– O rany... – Popukałam się w czoło i opuściłam towarzystwo. Czasami posiadanie braci jest karą losu.

Wskoczyłam w letnią piżamę i jakoś zachciało mi się spać. Leżałam, tuląc starego zająca Cieniaska. Cieniasek wygląda, jakby zawsze miał depresję. Wszystko w nim obwisa: długie kończyny, wąsiska, głowa. Tyle lat przytulania porządnie go sponiewierało. Wyblakłe pastelowe kolory potęgują efekt obwisania. Ten wymiętolony zajac był moją ukochaną zabawką. Gdy miałam dwa latka,

zobaczyłam go w małym sklepie z używanymi ubraniami. Trzeba było go wyprać, bo strasznie śmierdział. A potem to już był ze mną zawsze, czyli od ośmiu lat.

Drzwi kiwnęły się, bo przyszedł do mnie tatuś. Od razu władowałam się na niego, dokładając Cieniaska.

– Dobrze, że jutro nie wyjeżdżasz – wymruczałam w czarną bluzkę tatusia, a tatuś opowiedział mi historyjkę na dobranoc. O takim mieście, gdzie mieszkało dużo ludzi, a nie było jedzenia, za to było dużo, dużo wody. Zapasy wyczerpywały się i nikt nie mógł ich uzupełnić, bo wokół wszystko zostało zjedzone. Kolejne wyprawy po chleb kończyły się śmiercią śmiałków. Aż kiedyś wyruszył w świat mały Jonasz. Miał tylko dziesięć lat i uciekł z domu w nocy. Wiadomo – nie puściliby go w świat. Nasze prawo nie zezwala dzieciom na samotne podróże. Jonasz wsiadł na rower i jechał, jechał, aż wjechał do jakiegoś tunelu. Jego ściany były pokryte jasnym proszkiem, który wlatywało Jonaszowi do nosa. Pod kołami roweru chrząścił ten proszek i coraz więcej wlatywało Jonaszowi do uszu, i wreszcie do ust. Jonasz oblizał się i poznał smak... zupy w proszku! Kiedyś, dwa razy w życiu, próbował takiej zupy! Jonasz zatrzymał się. No tak! To nie żaden tunel, tylko wielka torba zupy w proszku! Hura! Chłopiec powiedział tatusiowi o tym odkryciu i wkrótce całe miasto mieszało proszek z gorącą wodą, i wszyscy jedli pyszną zupę!

Mój tatuś to jest dopiero żywa literatura piękna! Ale nie mogę o tym mówić, bo tatuś trochę się wstydzi tych bajek. Mówi, że gryzą się z jego wizerunkiem. Dlaczego? Musicie poczekać na rozdział o tatusiu.

Pocałowałam tatusia. Chętnie bym z nim spała, ale mama tego nie popiera. Jestem już dużą dziewczyną, a takie duże nie śpią z tatusiami. A mama jest starsza i śpi. To ma być sprawiedliwość? No trudno...

Zasnęłam, ale około drugiej w nocy obudziłam się. Wstałam, poszłam do łazienki, a gdy wróciłam, poświeciłam latarką na pojemnik z jajami muchy. W porządku. Śpijcie, maluchy.

Niebo było fioletowe i jasne.

Już niedługo szkoła. Bardzo się cieszę. Ze szkołą mi się poszczęściło – mam dobrą klasę i zwierzęta w kąci-ku przyrodniczym. Zmierzyłam sobie temperaturę. Trzy razy. Ostatni wynik to 36,5. Lekkie osłabienie według mnie. Przyłożyłam sobie Cieniaska do czoła i zasnęłam.

Pewnie jesteście ciekawi, co było dalej z moim śmierz-ącym przedszkolem. Czekałam i czekałam, często za-glądałam do pudełka z wątróbką. W końcu wątróbka ożyła! Była w ciągłym ruchu za sprawą białawych larw z czarnymi oczkami. Z nosem w pudełku, pokonując wstręt do smrodu gnijącego mięsa, obserwowałam po-czynania muszych przedszkolaków. Ho, ho! Ile mam te-raz ciekawych zdjęć! Larwy były coraz większe, żwawo się ruszały i widać było, że bardzo lubią wątróbkę. By-łam tak zadowolona z mojej hodowli, że wtajemniczyłam chłopców.

– Bllleeee. – Piotrek wywalił język i zatkał usta. A jednak patrzył, i oczy miał coraz większe. Grzesiek spojrzął na mnie z uznaniem:

– Może ty, Kaśka, naprawdę zostaniesz jakimś przyrodnikiem?

– Zostanę – byłam pewna. W głębi duszy liczyłam na Nagrodę Nobla w przyszłości. Kiwałam głową nad pudełkiem jak dobra matka nad swoimi udanymi dziećmi.

– A co z nimi będzie dalej? – Piotrek zatykał sobie nos.

– Zamienią się w poczwarki i potem z tych poczwarek wyjdą młode muchy. Osuszają sobie skrzydełka, oswoją się ze słońcem i pofruną – wyjaśniłam.

Tak się jednak nie stało. Moje muchy nie pofrunęły. Chyba zbyt często biegaliśmy do okna, bo któregoś dnia mama odkryła moje śmierdzące przedszkole. Trzeba przyznać, że kiedy tylko otworzyło się okno, do pokoju wlatywała lekka fala niepokojącego smrodu. Trudno było to ukryć.

Jeśli ktoś z was wciąż jeszcze czyta moją historię, to pewnie domyśla się, że mama nie ucieszyła się, widząc ruszającą się wątróbkę. Nic nie pomogły tłumaczenia całej naszej trójki, moje krzyki i płacz. Pudełko powędrowało do śmietnika, tego na podwórku. Sąsiednim podwórku. Próbowalam je wydostać, ale Marianna to przewidziała i wysledziła mnie. Biedne muchy i biedna mamusia. Ciężko być moją mamą.

No i ostatnie dni wakacji spędzamy w domu. Kompletnie zeszyty, Grzesiek i Piotrek mają nowe plecaki. Siedzę sobie z nimi i właściwie jest mi dobrze i wesoło.

O rany... A to mogły być takie piękne muchy...